

Kajii Motojirō

Cytryna

Tłumaczenie/translation/翻訳 Aleksandra Szczehla

Od tłumacza

Tłumaczenie publikowanego niżej tekstu rozpoczęło się jako praca domowa, jaką zadałam studentom na zajęciach z translatoryki, które prowadziłam na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 2007-8. Pragnę w tym miejscu podziękować wszystkim uczestnikom zajęć za ich pomysły, krytyczne komentarze oraz entuzjazm, jaki przejawili w swych pracach. Studenci, którzy znaleźli się w tej grupie to: Magdalena Fedyna, Katarzyna Gortadt, Eliza Gromada, Marta Kosmala, Małgorzata Marczuk, Anna Nawrat, Paulina Piróg, Anna Rogowska, Marta Rukszan, Cezary Strusiewicz oraz autorka krytycznego eseju dotyczącego tłumaczonego tekstu noweli, który zamieszczony został wcześniej w niniejszym zeszycie – Anna Trzaska. Niezależnie od aktywności i pomocy osób tu wymienionych, autorka tłumaczenia pragnie podkreślić, że czuje się osobiście odpowiedzialna za wszelkie możliwe niedoskonałości tekstu docelowego w jego obecnym kształcie.

CYTRYNA

Nieokreślony, złowieszczy ciężar przygniatał mi serce. Podobny do irytacji lub wstrętu, albo kaca poalkoholowego, nawiedzającego człowieka po dniach i nocach picia. Dopadł mnie. I był nie do zniesienia. Ani gruźlica, ani załamanie nerwowe, ani nawet dojmujące długi nie dawały mi się tak we znaki. Nie do zniesienia był właśnie ów złowieszczy ciężar. Nie mogłem ścierpieć najpiękniejszej muzyki, czy wierszy, które niegdyś sprawiały mi radość. Nawet gdy specjalnie szedłem dokądś, by posłuchać gramofonu, już po dwóch, trzech taktach czułem, że muszę wstać i wyjść. Coś nie pozwalało mi usiedzieć w jednym miejscu. Włączyłem się więc bez końca po ulicach.

Pamiętam, że silnie pociągały mnie wówczas rzeczy piękne, choć ubogie. Także w krajobrazie: ponad wyniosłe, główne aleje przedkładałem podupadłe dzielnice i jakoś znajomo wyglądające boczne uliczki, obwieszone brudnym praniem, pełne walających się rupieci i ukazujące okna obskurnych mieszkań. Uliczki sprawiające wrażenie, że deszcz i wiatr niedługo zrównają je z ziemią, domostwa o pochylonych ścianach i rozpadających się glinianych murach – wśród których jedynie rośliny były pełne życia – czasem zadziwiający słonecznik, czasem kwitnąca *kanna*.

Kiedy włączyłem się po tych zaułkach, próbowałem sobie wyobrazić, że nie jestem już w Kioto, ale w jakimś odległym o setki mil mieście, na przykład w Sendai czy Nagasaki. Pragnąłem uciec z Kioto dokądś, gdzie nie znałbym nikogo. Po pierwsze cisza. Przestronny pokój w zajeździe. Świeża pościel. Pachnąca moskitiera i sztywna od krochmalu *yukata*. Chciałbym położyć się i leżeć tak z miesiąc, nie myśląc o niczym. Ach, gdyby Kioto zamieniło się w takie miasto... Kiedy już udawało mi się ulec tej fantazji, zaczynałem stopniowo dodawać doń kolory. A wtedy obraz z łatwością nakładał się na moje nędzne otoczenie, i mogłem cieszyć się poczuciem zatracenia w nim swego rzeczywistego ja.

Lubiłem także sztuczne ognie. Właściwie nawet nie same ognie, ile ich opakowania, malowane tandetnymi barwnikami w czerwone, fioletowe, żółte i zielone pasy. „Spadające gwiazdy nad Chūsanji”, „Kwiatne potyczki”, „Suche stopy” i „Mysie ogniki” – w pudełkach znajdowały się wiązki ogni każdego rodzaju. Takie właśnie rzeczy miały dla mnie przedziwny urok.

Poza tym lubiłem jeszcze kolorowe, szklane kulki z wypukłymi wzorami kwiatów i ryb oraz paciorki nankińskie. Niewysłowioną wręcz przyjemność sprawiało mi ssanie ich. Cóż mogłoby się równać z ich chłodnym smakiem? W dzieciństwie rodzice często karcili mnie za

branie takich paciorków do ust – i może to właśnie z powodu słodkich wspomnień dzieciństwa, wracających, gdy byłem dorosły i biedny – smak paciorków miał w sobie tak świeże, liryczne wręcz piękno.

Nietrudno chyba zgadnąć, że byłem bez grosza. Tym bardziej jednak potrzebowałem jakiegoś zbytku, czegoś, co poruszało i podnosiło mnie na duchu. Niechby kosztowało nie więcej niż dwa, trzy *seny* – dla mnie i tak było luksusem. Przedmioty piękne – a raczej takie, które mimo mojej indolencji kusiły, pobudzały moje czuлки. To one były moją jedyną pociechą.

Zanim tak zbiedniałem, lubiłem takie miejsca jak Maruzen. *Eau de cologne* oraz *eau de quinine* w wytwornych buteleczkach z czerwonego lub żółtego rżniętego szkła, w buteleczkach o kolorze bursztynu czy jadeitu, z eleganckimi, rokokowymi reliefami. Fajki, nożyki, mydła, papierosy. Potrafiłem spędzić na ich oglądaniu godzinę, by w końcu dokonać jednego ekstrawaganckiego zakupu – brałem, dajmy na to, pierwszorzędnej jakości ołówki. W tamtych dniach jednak nawet Maruzen stał się dla mnie miejscem przygnębiającym. Książki, studenci, kasy – wszystko wyglądało jak duchy wierzycieli.

Pewnego poranka, a pomieszkowałem wtedy u różnych znajomych, przenosząc się co jakiś czas od jednego do drugiego, mój gospodarz poszedł na zajęcia i zostałem w pustym pokoju sam jak palec. Musiałem znowu ruszyć w miasto. Coś mnie gnało. Przemierzałem kolejne dzielnice i wspomniane już boczne uliczki, przystawałem przed tanimi cukierniami, przyglądałem się suszonym krewetkom, sztokfiszom i skórkom sojowym na wystawach sklepów, aż w końcu dotarłem do Teramachi na wysokości Drugiej Alei i zatrzymałem się przed sklepem z owocami. Chciałbym w tym miejscu powiedzieć o nim parę słów, ponieważ był to mój ulubiony sklep. Zdecydowanie nie należał do ekskluzywnych miejsc, jednak to właśnie w nim najwyraźniej można było odczuć specyficzne piękno sklepów z owocami. Owoce, ułożone na stromo nachylonej półce, przy czym samą półkę zrobiono chyba ze starej, pokrytej czarną laką deski, zastygły w swych barwach i masie, niczym jakieś przepyszne, porywające allegro, znieruchomiałe pod zmieniającym w kamień spojrzeniem Gorgony. W głębi sklepu, w coraz wyższych stosach, piętrzyły się warzywa. Jakże wspaniałe było piękno tamtej natki marchewki. Także namoczonej fasoli, czy bulw strzałki wodnej.

Najpiękniej było tam wieczorem. Teramachi jest ulicą pełną gwaru i – choć oczywiście nie mogłaby się równać z Tokio czy Osaką – jest wprost skąpana w światłach okien wystawowych. Z jakiegoś powodu jednak ów sklep owocowy tonął w ciemnościach. Od strony mrocznej Drugiej Alei

było to naturalne, zastanawiało natomiast, dlaczego sąsiedni budynek też był spowity mrokiem, mimo że stał przecież przy Teramachi. W każdym bądź razie, gdyby nie te ciemności, miejsce to nie miałoby dla mnie tyle uroku. Poza tym była jeszcze markiza – niczym daszek czapki nasadzonej głęboko na oczy – zresztą trudno tutaj o opis, na jej widok po prostu pojawiała się myśl, że sklep „wcisnął czapkę na oczy.” Ponad nią zalegał całkowity mrok. W takim otoczeniu nic nie odbierało blasku palącym się wewnątrz sklepu lampom elektrycznym, a owoce, skąpane w ich obfitym świetle niczym w letnim deszczu, przedstawiały zaiste cudowny widok. Lubiłem przyglądać się im z ulicy – wtedy światło gołych żarówek wwiercało się w oczy ostrymi świdrami, lub też przez przeszkłone okno z piętra kawiarni Kagiya – nawet na Teramachi w tamtych dniach niewiele było miejsc, które mnie tak ekscytowały.

Tego dnia wyjątkowo coś kupiłem. Zazwyczaj bowiem nie mieli tam cytryn. Chociaż cytryny to oczywiście nic nadzwyczajnego. Ten sklepik jednak, choć może nieco większy od straganu, oferował przeważnie wyłącznie najbardziej podstawowe produkty. To dlatego chyba nigdy wcześniej ich tam nie widziałem. Spodobały mi się te cytryny. Ich czysty kolor, niczym „cytrynowa żółć” zaschnięta wprost po wyciśnięciu z tubki, a także krótki, wrzecionowaty kształt. Koniec końców, postanowiłem wziąć jedną sztukę. Gdzież ja później nie byłem? Którędy chodziłem? Przez długi czas włączyłem się po mieście. Wydawało mi się, że od momentu, w którym owoc znalazł się w mojej dłoni, przygniatający mnie dotąd złowieszczy ciężar zelżał nieco i nagle czułem się w mieście niezwykle szczęśliwy. Żeby tak uparte przygnębienie przegnał jeden maleńki owoc – było to dziwne, wręcz podejrzane, ale zarazem paradoksalnie prawdziwe. Ludzkie serce – oto prawdziwa zagadka.

Chłodnego dotyku cytryny nie dało się z niczym porównać. Przechodziłem wtedy zaostrzoną fazę gruźlicy i zawsze trawiła mnie gorączka. Prawdę powiedziawszy, lubiłem chwalić się tym różnym znajomym i na powitanie specjalnie ścisnąłem ich dłonie – moje zawsze były najcieplejsze. Może to właśnie z powodu gorączki chłód cytryny, emanujący z wnętrza dłoni na całe ciało, wydawał się tak przyjemny.

Raz po raz podnosiłem cytrynę i wdychałem jej zapach. Wyobraziłem sobie Kalifornię, gdzie się je uprawia. Przypomniało mi się też wyrażenie „porazić nos”, zapamiętane z lekcji chińskich klasyków, z *Handlarza cytryn*. Wystarczyło wciągnąć głęboko w płuca przesycone zapachem cytryny powietrze, by – choć przecież już od dawna nie oddychałem pełną piersią – resztką ciepłej krwi rozeszła się po ciele i twarzy, budząc we mnie zdrowie...

Sam się dziwię, jak idealne wydały mi się wówczas te proste wrażenia – chłód, dotyk i zapach oraz wygląd cytryny; pomyślałem nawet, że właśnie tego do dawna szukałem – no cóż, tak to wówczas ze mną było.

Szedłem przez miasto, ożywiony i podniecony, czującomalże dumę i rojąc sobie, że jestem szykownie odzianym poetą. Kładłem cytrynę na brudnej chustce lub przykładalem ją do płaszcza, sprawdzając, jak zmienia się jej odcień, po czym konstatowałem w myślach: To jednak szło o masę...

To właśnie tej masy cały czas poszukiwałem – to w ten ciężar zmienia się wszelkie dobro i piękno – w przyptywie dobrego humoru byłem zdolny wymyślić coś tak absurdalnego – krótko mówiąc, czułem się szczęśliwy.

Nie wiem gdzie potem byłem, ani którędy chodziłem, wreszcie znalazłem się przed Maruzenem. Tak starannie omijane miejsce tego dnia wydało mi się całkiem przystępne.

Spróbuję dziś wejść – pomyślałem i dumnie wkroczyłem do środka.

Nieoczekiwanie jednak uczucie szczęścia, które przepelniało moje serce, zaczęło mnie opuszczać. Nie ciągnęło mnie do flakonów z perfumami ani fajek. Poczulem nawrót fali depresji, pewnie dało też o sobie znać zmęczenie długą włóczęgą. Podszedłem do regału z albumami. Przeraziłem się, że podniesienie nawet jednego ciężkiego tomiska będzie wymagało więcej siły niż zwykle. Mimo to brałem z półki jeden po drugim, otwierałem, lecz nie budziła się we mnie chęć dokładnego ich studiowania. Wciąż jednak, jak zaklęty, wyciągałem następne tomy. Wszystko na nic. Czułem, że powinieniem je chociaż kartkować, ale na więcej nie mogłem się zdobyć, zatem odkładałem je na bok. Nie potrafiłem nawet położyć ich na właściwe miejsce. Nie wiem ile razy to powtórzyłem. Wreszcie znalazłem ciężki, pomarańczowy album mojego niegdyś ulubionego Ingresa, lecz ten także odłożyłem, nie mogąc przezwyciężyć narastającej niechęci. – Cóż za przeklęta sprawa. Czułem znużenie mięśni rąk. Smutny i nieswój przypatrywałem się stosowi wyciągniętych przez siebie książek.

Co stało się z tak pociągającymi mnie niegdyś albumami? Kiedyś potrafiłem studiować uważnie stronę po stronie, delektując się dziwnym wrażeniem niedopasowania, ogarniającego mnie, gdy później rozglądałem się po swoim nazbyt zwyczajnym otoczeniu...

Ach! – przypomniałem sobie nagle o schowanej w rękawie kimona cytrynie. A może by tak spiętrzyć wielobarwne tomy i zwieńczyć stos cytryną? – Właśnie!

Ponownie poczułem lekkie podniecenie. Zacząłem układać stos z książek, które miałem pod ręką, w pośpiechu burzyłem go, po czym pośpiesznie budowałem jeszcze raz. Wciąż na nowo wyciągałem, dokładałem i

odkładałem tomy. Przedziwna, iluzoryczna twierdza to czerwieniała, to nabierała błękitu.

Nareszcie była gotowa. Na koniec, powściągnąwszy radosne podrygiwanie serca, na samym jej szczycie, powoli i ostrożnie umieściłem cytrynę. To było dzieło!

Jaśniał przede mną owoc niepostrzeżenie wchłaniający w swoje wrzecionowate wnętrze wszystkie jaskrawe kolory. Miałem wrażenie, że w całym zakurczonym Maruzenie jedynie wokół cytryny panuje niezwykle napięcie. Przez dłuższą chwilę przyglądałem się swemu dziełu.

Nagle uderzyła mnie kolejna myśl. Zaskakująca dla mnie samego – Zostawię to tak i wyjdę, jak gdyby nigdy nic. – Poczulem dziwne łaskotanie – Mam wyjść? Tak! Wychodzę! – i już mnie tam nie było.

To dziwnie łaskoczące uczucie sprawiało, że, idąc ulicą, uśmiechałem się. Tajemniczy łotr, który na półce w księgarni podłożył połyskującą złotem, straszliwą bombę, to ja – ależ byłoby wspaniale, gdyby już za dziesięć minut wstrząsnęła Maruzeniem potężna eksplozja z epicentrum w dziale sztuk pięknych!

Całą mocą wyobraźni podążyłem za tą wizją. – Ten przygnębiający Maruzen rozleci się w drobny mak!

Szedłem ulicą Kyōgoku przedziwnie upstrzoną filmowymi plakatami.